



HELENA SEKUŁA

**, SIEDEM
DOMÓW KUNY**

Helena Sekuła

SIEDEM DOMÓW KUNY

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-67021-10-4

Copyright © Helena Sekuła

Projekt okładki: Marcin Labus

Obraz na okładce namalował: Claude Monet

To był Grażel.

Malarz, dekorator wnętrz, mierny talent z fałszywym dyplomem, druh Slodana, kuplera z Pigalle, szaleństwo wielkiej śpiewaczki i niedobra miłość Nonny.

Leżał nieżywy obok samochodu.

Przy Płonej Skale leśna droga skręca ostro. Auto między czubem wzgórza a stromizną zbocza wyskoczyło z łuku i minęło na głazy pozostawione w kotlinie przez ustępujący lodowiec w czasach, kiedy ziemia była młoda.

Wóz, zanim zarył pyskiem w dno parowu, objął się o stok, ciśnienie giętego metalu wyparło drzwiczki, mężczyzna wypadł i roztrzaskał się na kamieniach.

Poznałam go od razu, chociaż jego piękna twarz nie była już piękna. Leżał, jakby mu wyjęto stos pacierzowy, zniekształcony i płaski, pośród uronionych klejnotów, które jak wnętrzości wysnuły się z pęknięcia w mieszkku zamykanym ściągnięciem długiego łańcuszka.

Pamiętałam ten woreczek z miękkiej złoconej skóry, z dużym N wyszytym pająkami. Niedawno miałam go w rękach. Należał do Nonny.

Przyjechała bez uprzedzenia. Pod dom wtoczył się nowy, nie znany mi jeszcze samochód. Wsiadła z niego Nonna w wiśniowych, bardzo eleganckich kozakach i wciętej zamkowej kurtce, obszytej czarnym lisem. Za nią wygramolił się Dziadek.

Nie widziałam ich od przeszło roku.

– Pelka, ja do ciebie na wywczas. Przyjmiesz na jakie dwa tygodnie? – pod dziarskim tonem ukrywał skrępowanie.

– Na ile zechcesz, Dziadku.

– A twoja gospodyni co powie?

– Gość w dom, Bóg w dom.

– Potrzebne tylko łóżko. Pościel i wszystko przywieźliśmy.

Nonna wytaszczyła walizę.

– Zawołaj kogoś do pomocy – zażądała wskazując wiklinowy kosz z wiekiem, przytroczony do bagażnika samochodu.

– Nie mam kogo, Nonna.

– A twój Wilk?

– Mieszka po drugiej stronie Jeziora.

– A nie mówiłam! Warto ci było za chłopem gonić, na takim zatylcu się zakopać.

Milczałam.

– Tu w ogóle nie można chodzić – sarkała. Niosłyśmy spleciony z łoży kufer, w wiosennie rozmiękłą ziemię zapadały się wysokie obcasy jej żurnalowych bucików.

– A więc tak mieszkasz! – ogarnęła wzrokiem izbę.

Nie miałam się czego wstydzić. Wyblyszczona po paście podłoga z niemalowanych, złocistych dech. Na bielonych ścianach nieśmiertelniki i wiązki rośliny o czerwonych strąkach, w kącie dar Babki, kępa zielonego asparagusa pędami sięgającego już ciemnej powały. Stół na krzyżakach, zydel i taka sama półka z litego drewna, Doroszewski kupiony za niesamowitą cenę na warszawskim wolumenie i kilka książek. Maszyna do szycia, krawiecki manekin, stojąca lampa i prawdziwy przedmiot zbytku, pokryte rzeźbą krzesło zrobione przez Wilka. Królewskie karło z czarnego dębu z wysokim oparciem i poręczami. Szydełkowa poduszka, dziana grubym, wężlastym ścięciem z nie farbowanej wełny o szlachetnym tonie słoniowej kości, ciepło kontrastowała z barwą drewna, podkreślała kształt i snycerski kunszt. Taka sama narzuta mojej roboty osłaniała materac z gąbki kupiony w Pewexie.

Babka wróciła z kościoła, powitała nas pochwalonym, dla wygody starszego pana oddała alkierz, gdzie kazała przestawić paradną wersalkę przeznaczoną do reprezentacji i dla

gości, ucięła głowę najstarszej kurze, która przestała się już nieść, i wszystkich zaprosiła na rosół.

- Grażel przyjechał – powiedziała Nonna, gdy wieczorem zostałyśmy same.
- Masz kłopoty?
- Można to i tak nazwać.
- Nie grałaś z nim czysto, wtedy gdy wyprawiałaś go do Paryża.
- Nie ja go wysyłałam, musiał jechać. A ciebie nie wpuściłam w maliny, chociaż po dziś dzień tak uważasz.
- Mniejsza o mnie.
- Szukać ci Grażela nie kazałam. Wyraźnie mówiłam, co masz robić, ale ty zawsze chcesz być mądrzejsza, zawsze!
- Nie warto wspominać, dawne sprawy.
- Nie warto! Znów go mam na karku.
- Oddaj, co jego.
- Jemu nic się nie należy! Kardynałowi, tobie, owszem. Pamiętam! Ale Grażela zawsze rozliczałam od ręki.

Niedobrze. Jeśli Nonna przypomniła, że jest mi coś winna, ma powód, a powody Nonny przeważnie nie wychodziły mi na zdrowie.

- W takim razie, o co mu chodzi?
 - Uważa, że gdyśmy się kochali, dzieliłam niedokładnie.
 - A dzieliłaś niedokładnie?
- Pominęła moje pytanie.
- Przyjechał za tą t w o j ą mamam! – Nonna zaczęła się śmiać, jakby było z czego. – Babsko zdarło gardło i co tam jeszcze po świecie, teraz przyleciało chrypieć do Warszawy. Tu wszystko strawią, byle zagraniczne. I Grażel przyciągnął za starym pudłem.

Nie wiedziałam o Jej przyjeździe.

- Ma chyba ze sto lat. Obraza boska taki związek – ziała Nonna.

Każda z nas ma swój godowy lot, dzień jętki – powiedziała Wera na Gare de L'est, kiedy Paryż stał się dla nas dwóch za ciasny, i Ona chciała koniecznie zobaczyć, jak wsiadam do warszawskiego pociągu. Pozostała w mojej pamięci piękna, z makijażem tak doskonałym, że aż niedostrzegalnym, w świetnym kostiumie z Comtessy i pantoflach z jakiegoś egzotycznego gada, na bardzo wysokich obcasach, wydłużających zbyt krótkie i zbyt tęgie nogi.

– Ale do rzeczy. – Nonna sprawdziła szczelność zasłon na oknach. Dopiero wtedy wyjęła z podróźnej torby pękaty mieszek ze złoconej skóry z dużą literą N, naszytą pająkami po jego obu stronach. Rozsupłała ściągający go łańcuszek i poczęła dobywać małe woreczki z grubej flaneli, a z nich przedmioty kosztowne i piękne. Niektóre znałam.

Trzy ogniwa Orderu Świętego Andrzeja. Złoto, emalia, czterdzieści osiem gramów, próba pięćdziesiąt sześć – pochodziły z kolekcji wiekowego pedała, który przepadał za Grażelem.

Brylantowe butony, wielkie jak ziarna bobu, niegdysiejszej roboty, miały czystość źródlanej wody, oszołamiającą ilość karatów, amsterdamski szlif, po dziewięćset faset na powierzchni, warte wielozerową sumę w zielonych. Od ponad stu lat należały do kobiet z rodziny niemłodej pani z zagranicznego poselstwa. Dla rodziny zostały bezpowrotnie stracone, gdy dama poznała Grażela.

Pięciolistne koniczyny ze szmaragdów, połączone złotymi ślimacznicami. Jajeczko wielkanocne, baranek, zając z platyny i lokaty: ciężkie, niezdarne sygnety, złote afrykanery, kruszcowe numizmaty, zwykłe sztabki i dentystyczne krążki.

- Po co to pokazujesz?
- Łaciny grosz!

– I pomyśleć, ja nie mam nawet na radio! – poczułam żal. Zaczynili działać zatruty czar cennych lśniń i błysków, rozłamanych barw tęczy. Zateśniłam za minionym czasem, gdy byłam wolna od takich pokus, kiedy jednakowo traktowałam klejnot i groszowy pierścionek.

– Musisz przechować, póki Grażel nie pociągnie z powrotem za swoją mumią.

– Taka jesteś pewna, że nie skusi mnie wasze bogactwo?

– Schowamy z Dziadkiem. Ty nie dostaniesz namiaru.

– A więc dlatego przyjechał!

– Jedno przy drugim. Naprawdę lekarz zalecił, aby zmienić mu na trochę klimat.

– Nie, Nonna! Tutaj niczego nie będziesz ukrywać.

– Umiesz się człowiekowi odwdziżyć, nie powiem.

– Mogę was karmić, odziewać, utrzymywać, lecz żadnego przechowywania facjantu.

– Utrzymywać, ty! Nie rozśmieszaj mnie. Chwała Bogu nic od ciebie nie potrzebuję, ale skarbczyk muszę zamelinować.

– Grażel ci grozi?

– Gorzej. Stara się wyszperać kosztowności. My je tu sobie zamaskujemy, o miejscu nie potrzebujesz wiedzieć.

– Nie! I rano zabieraj się razem ze swoją skarbonką. Ani godziny dłużej.

– Ja ciebie nigdy nie wyganiałam.

– Nie dam sobie zmarnować życia, nawet tobie, Nonna, nawet Wilkowi.

– Ty nazywasz to życiem!

Ze złości drżały jej ręce, gdy z powrotem ukrywała walory w torebkach. Otulone w miękką flanelę zagarnęła do mieszka i ściągnęła łańcuszek. Nic odezwała się do mnie więcej ani słowem, odjechała bez pożegnania, kiedy tylko się rozwidniło. Moje serce nie przeczuło, że widzę ją po raz ostatni.

Cierpiałam, żałowałam Nonny, bolał sprawiony jej zawód, jednocześnie czułam ulgę. Już nigdy nie będę walczyła z pokusą posiadania s w o j e j części.

Teraz ten sam trzos ze złoconej skóry, obsyty pająkami w kształcie litery N. leżał wśród rozsypanych klejnotów obok martwego Grażela.

Wygląda jak komiwojażer Jablonexu – pomyślałam i podniosłam najbliższej leżący bicz czerwonych paciorków prześwietlonych słońcem. Posypały się koraliki z zerwanego sznurka, ich fasety nie rozszczyły promieni. Dopiero zauważyłam, że to szlifowane kolorowe szkło i oprawa może nawet pozłacana, lecz nic ponadto. Przejrzałam resztę. Ani ogniów Orderu Świętego Andrzeja, ani butonów arystokratycznej damy z dyplomacji, ni przynoszących szczęście koniczynek. Tylko jubilerski chłam, zwykle naśladownictwo kruszcowej biżuterii.

Świecidełka!

Aż tak się dać nabrać! Pewno Nonna zamieniła je, gdy patrzył jej na ręce. Stary trik cyrkowych prestidigitatorów i oszustów. Kiedy się połapał, doszedł do wniosku, że prawdziwe klejnoty ukryła u mnie, i dlatego znalazł się tutaj, tylko kto podał mój adres, Nonna? Boże! Czy Grażel nie zrobił jej krzywdy!

Muszę zawiadomić o wypadku.

Wspięłam się ku drodze, podniosłam rower i zawróciłam do Mikołasy. Najbliżej.

Dlaczego właśnie ja musiałam na niego trafić! Gdybym wcześniej wybrała się do Sarniej, gdybym później wybrała się do Sarniej, gdybym nie straciła gazety.

W gazecie przeczytałam o jedynaku wdowy z naszej wsi. Piękne opowiadanie: o walce z losem uosobionym przez żywioł i zachowaniu człowieczej godności mimo klęski.

A tak naprawdę, to napity bełtem syn wdowy poszedł nocą stawiać sieci i utonął na płyčynie w blasku Wielkiej Niedźwiedzicy, obojętnej przewodniczki kłusowników i złodziei.

Gdy Gwiezdny Wóz wytacza się na niebo, osierocona matka schodzi na brzeg, złorzeczy i przeklina bezlitosną wodę: – Oby wygniła w tobie wszelka roślina, wymarła ryba, byś wyschła!

Zbiegłam ku Jezioru. Rozjaśnione słońcem, huczało w wiosennym sztormie.

Wiatr wyszarpnął mi płachtę pisma, uniósł, zakręcił i posadził na grzbiecie grzywacza, upodobniając do jakiegoś dziwnego ptaka, dopóki nie przykryła go fala.

Zbierałam ten tygodnik. Aby odzyskać utracone stronicie, musiałam jechać do Sarniej. Tam pięć egzemplarzy pisma sprzedawano w kiosku i sześć w prenumeracie. Brali doktor, proboszcz, dentystka, nauczyciele.

Nie dotarłam do Sarniej, pod Płoną Skałą natknęłam się na martwego Grażela. Podjechałam do sołtysa, w Mikołaszy poza leśnictwem jedyny telefon we wsi, dom zamknięty, w obejściu pusto, wszyscy w polu. W leśnictwie to samo. Pozostawała poczta w Sarniej, położona najdalej, ale najpewniejsza. Zawróciłam.

Na Płonej Skale spotkałam już ludzi.

Obok wraku samochodu tłoczyli się robotnicy leśni ze Steyera wiozącego papierówkę z odległej poręby na bindugę w pobliżu Sarniej. Jakiś mężczyzna na motorze pognął zawiadomić posterunek w Wigajnach. Wieść o wypadku niosła się z szybkością podążającego motocykla. Zaczęli ściągać ciekawscy. Zatrzymał się i leśniczy z żoną, wracali z ośrodka zdrowia.

– Jakem hamował, ktoś dał dęba w młodniak zarastający kotlinę – opowiadał szofer ze Steyera.

– Mężczyzna, kobieta? – dowiadywała się dziewczyna na motorowerze.

– Chłop.

– Tutejszy?

– A kto jego wie. Z bliska ja jego nie widział, on zara uciekł.

– Może co brał, ludzie tera takie na wszystko chciwe.

Tknęło mnie. Zeszłam na dół, na kamieniach wciąż leżał nieżywy Grażel. Świedla znikły co do jednego. Znikł i rozdarty miś z wytartej poślaczanej skóry, ozdobiony literą Nonny.

– Odsuńcie się, ślady do cna zادةczecie. Jakże tak można, toż zdawałoby się myślące som! – zбочem śpieszył milicjant.

Pochodził z tych okolic, od lat zasiedziały w Wigajnach, łączyła go z miejscowymi pewna zażyłość, mimo to pogwarki o rabusiu uchłyły. Nikt o nim milicjantowi nie wspomniał. W ogóle nie pytani wprost, nic kwapili się z wyjaśnieniami. Z pokolenia na pokolenie dziedziczyli ową powściągliwość. Byle dalej od świadkowania, wezwań, sądów. Wyznawałam podobne zasady, jednak powiedziałam mu, że byłam tu już i wróciłam do Mikołaszy, aby powiadomić o wypadku. Tak było bezpieczniej, mógł mnie ktoś widzieć, podobnie jak człowieka spłoszonego przez Steyera. O woreczku z biżuterią ze strachu nie wspomniałam.

Milicjant celebrował nakładanie rękawiczek, potem obszukał kieszenie martwego. Znalazł portfel, wyciągnął z niego dowód.

– Olchowiak Marcin – wyskandował. – Mówi co komu jego familia?

Nikt się nie odezwał.

Dla mnie nazwisko Grażela też zabrzmiało obco, w ogóle słyszałam je niewiele razy, a przez całe lata znałam go jedynie z ksywy.

– Może kto jego rozpoznaje? – zachęcał do rozmowy milicjant, skracając sobie czas oczekiwania na śledczych.

Milczałam. Nie miałam zamiaru przyznawać się do Grażela.

– Ja podobnego widział z jednym warszawiakiem, co wystawił sobie dom nad Jeziorem. Rybę razem łapali, na kaczki chodzili, a też i na co grubszego. ale czy to ten sam, trudno powiedzieć.

Skwapliwie poświadczone. Bezpieczny, daleki temat. Z tego nie mogła pójść smuga na kłusowanie, ścinę w lesie bez asygnaty, na łapówki dla dyrektora centrali nasiennej za

zawyżanie klasy dostawianego przez nich siewnego ziarna, na ukrytego buhaja, bo ich krowom czemuś nie służył sztuczny byk, po nim rodziły cielęta cherlawe, marne albo i wcale.

Wieczorem ten sam milicjant przyszedł po Dziadka.

– Muszę was bez zwłoki wyprawić do Warszawy, dom wam się spalił!

Dziadek opadł na oparcie krzesła, jakby się skurczył, zmałał. I mnie poraziła wiadomość, zląkłam się o Nonnę.

– Co z moją wnuczką?

– Przecież jest tutaj – nie zrozumiał milicjant.

– Ona nie jest moją wnuczką, moja została tam!

– Dowie się obywatel na miejscu, ja otrzymałem telefonogram, żeby takiego i takiego, co przebywa tu i tu, wyprawić.

Rozmiary klęski ogarnęłam dopiero, gdy stanęliśmy u powalanej bramy, skąd wiodła czarna od sadzy, rozjeżdżona przesieka pośród stratowanych i zwarzonych gorącym roślin. W głębi ogrodu jeszcze dymiło osmalone rumowisko.

Nonny już nie zobaczyłam.

Zginęła gwałtowną śmiercią, a dom spłonął do fundamentów. Pośród nocy nagle ogarnął go ogień. Niczego nie udało się ocalić. Żar nie pozwalał nawet podejść bliżej. Strop runął, nim przybyła straż pożarna. Ruina nadal gorzała jak stos. Stos Nonny. Chociaż nie było już nadziei na jej uratowanie, strażacy w azbestowych skafandrach z osłoniętymi twarzami przeszukiwali prażące zgliszcza.

Podpalenie zbrodnicze – orzekły protokoły.

Wnętrze zostało oblane benzyną. Ze składziku stojącego w kącie ogrodu za osłoną wysokopiennych róż, znikły wszystkie zapasy paliwa. Szczerniałe szczątki pojemników walały się pośród skruszałej cegły.

Nonna nic już nie czuła, gdy zamknęły się nad nią płomienie podsycane łatwopalną substancją. Nie żyła. Podpalono dom, aby ukryć albo przynajmniej utrudnić stwierdzenie przyczyny jej śmierci. Znaki, jakie zachowały się na czaszce, świadczyły, że takich obrażeń nie zadał żywioł, tylko metalowe narzędzie kierowane ręką człowieka.

Zabójstwo – stwierdzono urzędowo. O sprawcy nie wiadomo nic. Wprawdzie pożar nie zatarł dowodu czynu, jednak zniszczył wszelkie inne ślady po mordercy.

Wydarzenia nie znane obcym przede mną były odkryte. Od lat działy się na moich oczach. Mogłam sobie wyobrazić to, czego nie wiedziałam.

Pokłócili się, może szamotali z Nonną, i Grażel zabił ją przypadkiem albo chciał zabrać wszystko i zamordował z rozmysłem. Do zagrabionego mieszka ze złoczonej skóry może nawet nie zajrzał. Znał go i pewno od dość dawna domyślał się, co Nonna tam przechowuje. Dopiero gdy znalazł się w bezpiecznej odległości i trochę ochłonął, rozpoznał falsyfikaty. Właściwie garść strasu z Jablonexu, tylko każdy oddzielnie zaszyty we flanelowy futerał, co bardziej niż wszystko inne sugerowało cenną zawartość.

Zamordował i podpalił dla jubilerskiego chłamu!

Popęłnić taką omyłkę. Nie do naprawienia. Nieznośna świadomość. Desperacko uczeplił się; myśli, że kosztowności Nonny zostały ukryte u mnie. Mógł być świadom jej wyjazdu do Mikołaszki. Teraz te fakty powiązał. Dlatego tu jechał.

Tylko ja zdaję sobie sprawę, kto zabił Nonnę, lecz nigdy się nie dowiem, co dla mnie gotował Grażel. Z pewnością nic dobrego. Nie dosięgnął. Na siedem kilometrów przed celem jego auto wyskoczyło z zakrętu. To, co wiem, zachowam dla siebie.

Nonny nie da się wskrzesić, zabójca niewiele ją przeżył, rozbił się o głązy w kotlinie pod Płoną Skalą. Rachunek między nimi zamknął los.

Milczałam.

Wyłącznie ja i rabuś z Płonej Skąły wiedzieliśmy o mieszkze ze złoczonej skóry z inicjałem Nonny, ale tylko mnie coś mówiła ta litera i tylko ja wiedziałam, że był to jedyny,

trudny zresztą ślad, który mógłby połączyć dwa oddzielne wydarzenia. Jednak miałam się bardzo na baczności, gdy ten sam milicjant z Wigajń, po zawiadomieniu Dziadka o pożarze, powiedział:

- A od was, panno, muszę spisać zeznanie względem wypadku drogowego.
- Chciałam pojechać razem ze starszym panem.
- A jedź, dziewczyno. Zakazu nie ma. Adres i familia? – zrobił się urzędowy, wyciągając długopis i formularz.
- Pelagia Warega.

2

Pelagia. Odkąd zaczęła rozumieć i porównywać swoje imię z innymi, nie chciała go mieć i długo nie potrafiła zrozumieć, dlaczego nie może go odrzucić jak niechcianą zabawkę, bo tylko w wyborze zabawek miała swobodę. Już ściągnięcie fartucha, kapci czy rajstop wywoływało starcia.

– Pelka! – o kadencję podnosił się głos stopniujący zdrobnienia, których też nie lubiła.

Nieruchomiała. Mogła tak trwać bardzo długo z nie dziecinną cierpliwością, nienaturalnie spokojna, jak owad udający nieżywego, dopóki uwaga opiekunki na dobre nie odwróciła się od niej ku innym dzieciom, co prędzej czy później musiało nastąpić. Wychowawczyni zajmowała się trzydziestoma malcami, z których żaden nie przekroczył jeszcze czterech lat, i właściwie trudno powiedzieć, żeby ich wychowywała.

Ściągnąć majtki, wysadzić, podciągnąć, zmienić pajacyk, bo się zmoczyło, rozdzielić gryzących się, szarpiących, kopiących, umyć twarze, ręce, pupy, zasypać talkiem.

Przez wiele godzin w tym kieracie, zmęczona, otepiała, ledwo nadażająca z podcieraniem, zmienianiem śliniaków, zasikanych rajstop, myciem, pudrowaniem, karmieniem.

Niewłaściwa waga, bladeść, otarty tyłeczek, zaprzały siusiak – to konkrety. Zauważy każda kontrola, dojrzy lekarz i higienistka, przypilnuje kierowniczkę.

Zgaszone oczy, otepienie, nieruchoma twarz, niedostateczny albo zupełny brak kontaktu ze światem zewnętrznym, choroba sieroca, nieprzystosowanie – za to nie można obarczyć odpowiedzialnością wychowawczyni, nie sposób jej rozliczyć, za to nie pisze się złych opinii, za to się nie wyrzuca.

Mały człowiek jest istotą skomplikowaną, niepodobną jedna do drugiej, chociaż na wszystkie w mniejszym lub większym stopniu niekorzystnie oddziałują opieką instytucjonalną. Syndrom dręczy zbiorowość, choroba D o m u, trawiąca społeczne sieroty wychowywane z urzędu. Na te cierpienia jest tylko jedna niezawodna rada. Matka! Matka, choćby niedoskonała, a jeśli to niemożliwe, kobieta spełniająca wszystkie funkcje tamtej.

Wychowawczyni, nawet najlepsza, jest marną namiastką matki. Opiekunka, chociażby bardzo dobra, nie jest nawet surogatem matki dla trzydziestu małych dzieci. Ludzkie szczenięta potrzebują miłości, jednostkowej uwagi i bliskości kobiety, bliskości fizycznej, jej głosu, ciepła, zapachu. Ciało przy ciele.

Cierpiący na niedobór kochania malcy są zawistni o najmniejszy gest wychowawczyni. Pogładzenie po głowie, przytulenie, obdarzenie pieczęcią jednego sprawia, że trzy dziesiątki istnień rzuca się na opiekunkę, wspina, pełźnie, przywiera, kurczowo obejmuje.

Kobieta niknie pod opasującymi ramionami, zaciśniętymi łapkami, kłębiącymi się ciałami. Małe walczą ze sobą bez pardonu, odpychają, gryzą i szarpia, a wszystko w krzyku, we łzach, w rozpacz i wściekłości.

Doznania ponad siły człowieczych ziaren.

Więc rozpleść duszące ręce, oderwać przyciśnięte twarze, otrząsnąć żywe grona; ugina się kobieta pod ich fizycznym ciężarem, pod naporem zmasowanego łaknienia miłości. Więc trzeba odsunąć je wszystkie, czułość zaś odmierzać jak krople – równo wszystkim. Takie sprawiedliwe, jednakie porcje uśmierzają, są znieczuleniem.

Dławiąca litość targa serce, ale litość nie jest kochaniem, one bardziej niż chleba potrzebują uczucia, intymnego kontaktu, bez przerwy. Ty – ja – my. Uwagi świadczonyj nie grupie, a jednostce, niepowtarzalnej istocie, tylko mnie.

Rzadko która kobieta jest zdolna poświęcić się cudzym dzieciom jak własnym. Z miłości do rodzonych niewiele zbywa obcym. A dom dziecka nieczęsto jest powołaniem, przeważnie miejscem zatrudnienia, gdzie są urlopy, zwolnienia lekarskie, zastępstwa, zamiana dyżurów, praca na trzy zmiany.

Za pensję bywa się nawet sumiennym, rzetelnym, chociaż też nie zawsze, ale nie można za wynagrodzenie kochać. Praca w domu dziecka jest, podobnie jak wszędzie, przeważnie środkiem do życia, rzadko sposobem na życie. Jeśli dla kogoś stanowi również i potrzebę serca, człowiecze okruczności utrzymywane społecznym kawałkiem chleba mają szczęście, mają wielkie szczęście. Ich dzieciństwo jest mniejszą niedolą.

– Pelka!

Mała, wyzwolona z wilgotnych rajtuz i burego fartucha, boso ugania po sali łyskając spod koszuliny gołym zadkiem. Ucieka przed wychowawczynią. przewraca się, podnosi i znowu nurkuje w kłębiącej się masie, dopóki nie schwyta jej opiekunka.

– Znowu się zlałaś! – klaps w chude pośladki, na delikatnej skórze wykwita czerwone odbicie palców.

Mała krzyczy bez jednej łzy.

– Żeby taka duża dziewczyna robiła w majtki!

Dziecko zanosi się suchym szlochem. Do piekącego bólu podrażnionego moczem tyłeczka dołącza się jeszcze rozdzierające uczucie żalu. Nikt więcej nie dostał, tylko ona. Kara dosięga indywidualnie; już o tym wie. Takie wyróżnienie przyjmuje jednak jako ciężką niesprawiedliwość, skoro pieśczoć dzieli się między wszystkich.

– Pelka, dlaczego nie wołasz! Sika się w nocnik, nie po nogach, ty zwierzaku! – potrząsa nią pod strumieniem wody pomocnica wychowawczyni.

– Nocnik śmierrrdzi – dzieciak dopiero niedawno opanował literę „r” i wciąż od nowa zachwyca się świeżą umiejętnością.

Trzydzieści nocników stoi w jednym pomieszczeniu, przeznaczonym tylko do tego celu, wciąż siedzą na nich jakieś dzieci, zagęszczeniu powietrza nie zapobiega wadliwa wentylacja, izbę wypełnia smród. Pelka do ostatniej chwili broni się przed wejściem w zaduch, a kiedy wreszcie decyduje się tam iść, często jest za późno, majtki są już mokre. Żeby uniknąć kary, ściąga z siebie ubranie, upycha za kaloryferem albo w inny kąt i ucieka jak najdalej od miejsca ukrycia dowodu nieporządku.

– Striptizerka! – długo wlecze się za nią owo przezwisko, towarzyszy jeszcze wówczas, gdy dawno ustały przyczyny. W kolejnych D o m a c h, dokąd trafia, będą domyślać się zupełnie innych powodów powstania owego przydomka, znieawidzonego przez dziewczynkę jeszcze bardziej niż imię.

Istnieje i druga przyczyna.

Na Pelkę, drobną i najmniejszą z rówieśników, pasowały wszystkie rzeczy sprane, skurczone, z których inne dzieci wyrosły. Zniszczone, po przeróbce zawsze jeszcze dały się przystosować dla niej. I Pelka bardzo rzadko, najrzadziej ze wszystkich, otrzymywała coś nowego.

Kochała kolory. Przygnębiało ją wyblakłe, pocerowane ubranie, dostrzegała też, że pozostali malcy znacznie częściej dostają nową, nie używaną odzież. To bolało. Naznaczało odmiennością, sieroctwem wśród sierot.

– Gryzie – mówiła i zdejmowała z siebie odziedziczone łauszki.

Nikt nie zastanawiał się nad przyczynami. Wrażliwość na barwy? Wszystkie dzieci są na nie wyczulone. Dlatego w sypialniach jest kolorowo. Wiszą Kaczory Donaldy i Micke Mouse, i pół Disneylandu, wiszą reprodukcje najlepszych rysunków dzieci, nagrodzonych na konkursach. Wychowankowie D o m u otrzymują też kredki i różnobarwne papierki do wyklejarek, chociaż wszystko wkładają do ust i dodatkowo trzeba uważać, aby się nie udławiły, nie wyłamały zębów, nie wydłubały innym oczu.

– Brzydkie! – wyjaśniała Pelka, gdy zdobyła wreszcie właściwe słowo.

– Patrzcie ją, smark jeden! – denerwowała się wychowawczyni. No bo żeby takie nieodrośle od ziemi, utrzymywane społecznie, miało jeszcze wymagania.

Przecież jest umyte, podtarte, nakarmione, ma dach nad głową i opiekę. A w D o m u obowiązuje budżet i trzeba się w nim zmieścić, i kto słyszał wyrzucać zdatną jeszcze do użytku odzież. Nawet w prawdziwych rodzinach tego się nie robi.

Prawda. Szkopuł w tym, że D o m nie był prawdziwą rodziną.

– Pelka, niedobra, krnąbrna dziewczyno!... Paskudny szczeniaku, ja ci postawię na swoim! – opiekunka zaczyna energicznie wtlaczać małą w wytarty dres.

Dziecko nie chciało się ubierać. Walczyło z każdą szmatką wrywając się, wierzgając z krzykiem, we łzach, aby spocone i wyczerpane wreszcie ulec przemocy.

Później zaszywało się gdzieś w kącie i cierpiało samotnie wśród gromady. A jeszcze później przestało się zmagać przy porannym ubieraniu. Samo wyciągało ręce do łatanych rękawów.

– Grzeczna, miła maleńka! – jak słodczyce łausowała pochwały i czułości opiekunki, nigdy nie syta. Kobieta odrywała ją od siebie nagłona złaknionymi spojrzeniami stojących w łóżeckach i niecierpliwie drepczących w oczekiwaniu swojej kolei.

Wyłudzała pieszczotę należną posłusznym dzieciom i ukrywała się w najmniej widocznym miejscu w pokoju dziennego pobytu. Najchętniej wciskała się za regał z zabawkami i tam mściła na rzeczach, darła na sobie owe brzydkie, smutne ubrania, perfidnie zaczepiając je o wystające gwoździe.

– Wandal!

– Szkudny zwierzak!

– W destrukcji przejawia inteligencję.

Inteligencja. Formowanie osobowości. Niedostatki a nierzadko klęski w tej dziedzinie to najgroźniejsze zło towarzyszące instytucjonalnemu wychowaniu małych dzieci. Podopieczni D o m u byli opóźnieni w rozwoju. Dzieci oddane rodzinom nadrabiały różnicę. Ale rzadko które trafiało do adopcji. Osamotnione, podrzucone na społeczny garnuszek, lecz nie sieroty. Ich rodzice żyli, nie chcieli się zrzec praw, a pozbawienie pod przymusem jest ostatecznością i sięga się po nie tylko w przypadkach drastycznych.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI